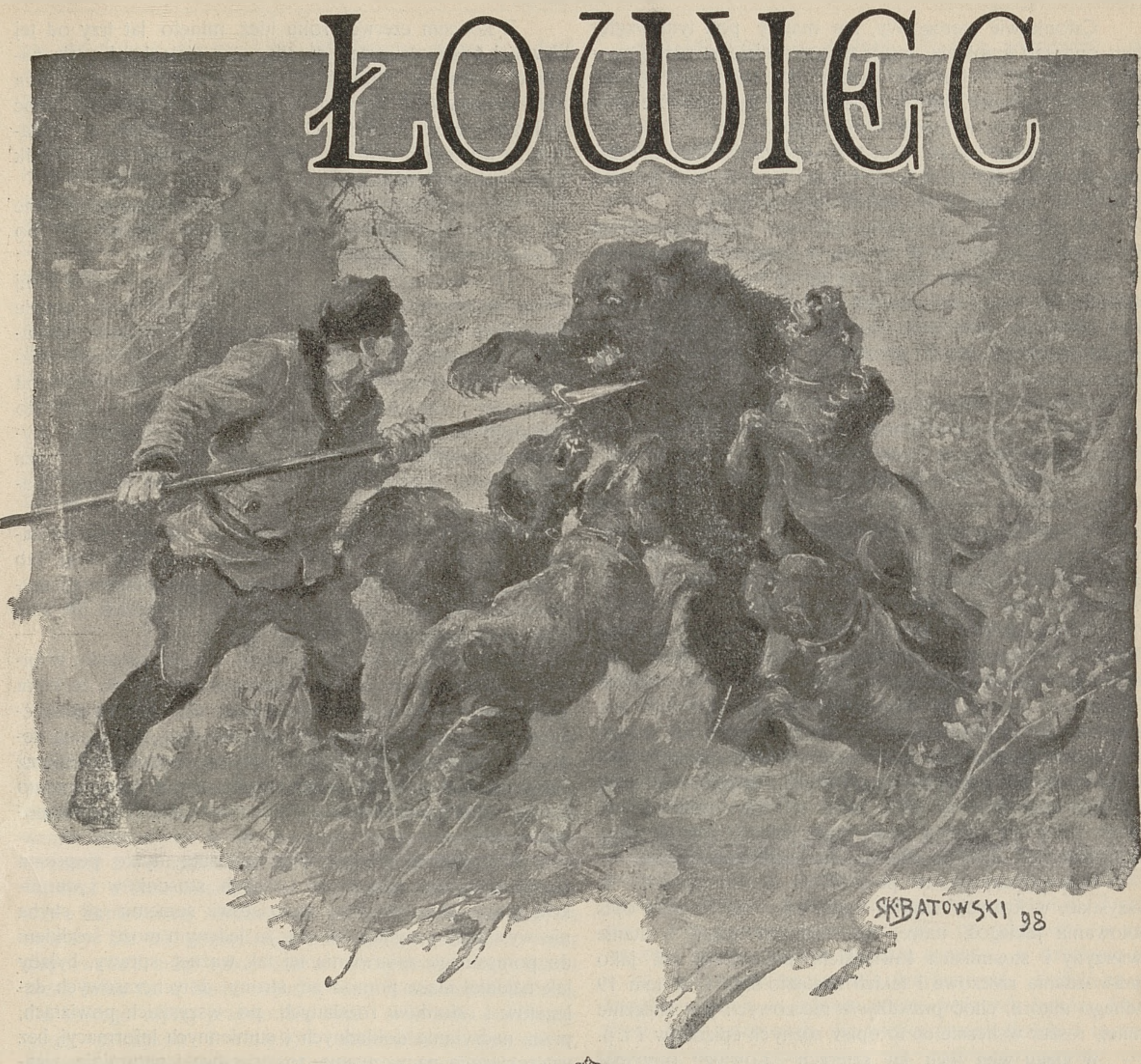
Nr. 20. Lwów, 16. października 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Pro domo nostra.

Jeszcze przed paru miesiącami miałem zamiar poruszyć tę kwestyę, nie mogłem jednak wtenczas odrazu pisać i trochę się odwlokło, aż teraz korespondencya pana Czarkowskiego-Golejewskiego przyspieszyła mą decyzyę.

Faktem jest niestety; smutnym faktem, że „Łowiec“ cierpi dotkliwie na chroniczny brak korespondencyi i artykułów od członków i redakcya musi się uciekać do środków ratunkowych, w korespondencyi Szanownego Pana Prezesa pomienionych.

Faktem jest też, że do każdorazowego wykrzesania nieco obfitszego wpływu materyału redakcyjnego, koniecznem jest od czasu do czasu upomnienie do któregoś z poważniejszych członków towarzystwa, tylko ruch ten niestety bardzo szybko potem ustaje. Drugim środkiem ożywiającym, choć najczęściej bez tego zamiaru, więc nieświadomie prawie używanym, jest, jak nieraz mieliśmy sposobność się przekonać, puszczenie jakiej rakiety lub szmermela w łamy „Łowca“. Nastaje wtenczas wielkie larum i wojna przez kilka tygodni lub miesięcy, potem znowu cisza grobowa. Smutne to, lecz prawdziwe niestety.

Pan Czarkowski uprzejmie namawia i grzecznie prosi członków o zasilenie „Łowca“. Ja pozwoliłbym sobie równie uprzejmie lecz i stanowczo zauważyć, że zasilanie to ma być nie aktem grzeczności ze strony członków, ale że jest poprostu wspólnym obowiązkiem wszystkich. Jeżeli się w statucie nie znajdzie paragrafu, wprost do tego bez rekursu obowiązującego, chyba jeden ogólny (obowiązki członków §. 14) to jestto bezwarunkowo obowiązkiem moralnym, niestety dotychczas mocno zaniedbanym.

Członkowie szeregowcy, nie mający pod tym względem czystego sumienia, mogą się wprawdzie w różne sposoby tłumaczyć i choć nie wiele z tych tłumaczeń byłoby usprawiedliwionych, jednak może od biedy, niektóre półusprawiedliwienia mogłyby być przyjęte.

Jest jednak jeszcze druga kategorya członków grzeszących, która ten obowiązek bardzo zaniedbała i to jako obowiązek wprost na się dobrowolnie przyjęty.

Ci członkowie już chyba żadnego usprawiedliwienia nie znajdą, a myślę tu o Panach delegatach towarzystwa.

Ponieważ odnosi się to jak mi ze ścisłego obliczenia wypadło do więcej niż czterech piątych ogólnej ich liczby, więc do ogółu mam prawo się zwrócić, ażeby zaś uniknąć jakichkolwiek zarzutów, zacznę od cyfr, od których nie masz odwołania.

Delegatów mamy stu siedmdziesięciu czterech, jeżeli nie więcej to nie mniej w żadnym razie. Pomijam tu pracę, bardzo nawet wydatną niektórych, co do dawania orzeczeń do użytku Towarzystwa łowieckiego, namiestnictwa i t. p. bo to tu nie należy, a ograniczam się jedynie do obowiązującego współpracownictwa dla „Łowca“, jak korespondencye, sprawozdania i t. p. Przejrzyjmy tylko roczniki „Łowca“ choćby od początku tego wieku, t. j. od 1. stycznia roku 1901 do 31. grudnia 1904.

Gdyby każdy z 174-ech Panów delegatów co roku choćby dwie tylko korespondencye nadesłał, w tych czterech latach uzbierałoby się ich 1392, cyfra wcale pokaźna. Tymczasem za tych lat cztery otrzymał „Łowiec“ 140 (sto czterdzieści) korespondencyi od trzydziestu trzech delegatów w takim stosunku: Dziewięciu nadesłało za cały czas lat czterech, po jednej korespondencyi, (niektóre po parę wierszy), dziewięciu po dwie, dwu po trzy, czterech po cztery, jeden pięć, jeden sześć, jeden siedm, dwu po ośm, jeden dziewięć, dwu po czternaście, jeden dwadzieścia.

Korespondencye te podzieliłem w ten sposób, że wszystkie, w których choćby najkrótszy się znalazł opis polowania jakiegoś, nawet bez żadnych uwag o stanie zwierzyny i stosunkach łowieckich, policzyłem już jako sprawozdania rzeczowe i takich znalazło się 74, w tem 19 jednego autora, choć prawdziwie rzeczowych jest znacznie mniej, reszta w liczbie 66 to opisy różnych epizodów i t. p.

W ciągu więc tych lat czterech „Łowiec“ otrzymał jak widać z obliczenia, razem 140 korespondecyi od 33-ech delegatów, „reszta“ — w liczbie 141 zachowała przez ten cały czas stałe milczenie.

O prawdziwości tego obliczenia łatwo się przekonać z roczników „Łowca“, a że cyfry zawsze i najlepiej same za siebie mówią, więc i argumentować nie potrzebuję. Chciałem tylko raz pokazać jak się dzieje, a zdaje mi się, że najlepszym do tego sposobem jest właśnie rzucenie cyfr niezbitych, zaczepieni zaś niech się bronią, choć nie wiem jak to pójdzie, ale może w ten sposób korespondencyi przybędzie. Wiem dobrze, że nie bardzo bezpiecznie jest zaczepić naraz aż 141 ludzi, ale się nie boję, bo facta loquuntur.

U nas, — z bolem serca używam tego utartego już niestety wyrażenia, — u nas tak wszystko idzie z kamienia, że z niepokojem wita się każdą nowość czy odmianę bo naprzód się przewiduje, że ciężkiem będzie przeprowadzenie, a to co już jest, może jeszcze przy tej sposobności ucierpieć.

Podobnie rzecz się ma obecnie z zapoczątkowaną, na walnem zgromadzeniu w r. 1902 sprawą reorganizacyi delegatów.

Z końcem czerwca roku bież. minęło lat trzy od tej chwili, i ściśle wziąwszy, sprawa nie wiele bardzo się naprzód posunęła. Warunki w jakich wydział towarzystwa musi pracować są bardzo trudne i ciężkie i dlatego choć niektóre z tych trudności chciałbym przedstawić, by wykazać, że konieczną jest do tego pomoc ogółu, ażeby wynik pracy był całkiem pomyślny.

Główną trudnością, z której prawie wszystkie inne się rodzą, jest działanie na olbrzymim terenie, — bo w ośmdziesięciu blizko powiatach kraju.

Tu kilku ludzi, mimo najlepszych chęci i największej pracy, trudno by dali radę, na to musieliby znać prawie wszystkich myśliwych w kraju, stosunki wszystkich powiatów i ich dokładną geografię, ze względu na ważne rozmieszczenie delegatów. Przy częstym braku informacyi od delegatów i członków, pracujący muszą się uciekać do ogólnych środków pomocniczych, jak schematyzmy, prywatne informacye i t. d. muszą się zwracać do osób z poza towarzystwa, kierując się tylko wybieraniem więcej znanych nazwisk.

Wynikiem tego bywa niekiedy, że pokaże się, iż zaproszony jest n. p. albo ślepy, albo nie ma nogi, lub z innego powodu, albo bez powodu polowaniem ni myśliwstwem się nie zajmuje, stosunków łowieckich nie zna, więc pomocą służyć nie może.

Nieraz zdarza się, że wybrany delegat mieszka w innym powiecie a na inny go wyznaczono; wiem, że kilku delegatów w ten sposób funkcyonuje; albo znowu rozmieszczenie wypadnie w ten sposób, że dwu lub trzech delegatów mieszka obok siebie, a reszta, znaczniejsza nieraz część powiatu zostanie nieobsadzona. Pracę więc na nowo trzeba rozpoczynać, nowa korespondencya i nowe poszukiwania.

Wszystko to nie jest winą wydziału, tylko poprostu bezsilnością naturalną wobec danych stosunków i warunków pracy. Na cały kraj wydziałowi samemu sił chyba nie wystarczy i wydaje mi się, że jedynym może środkiem do pomyślnego załatwienia tej tak ważnej sprawy, byłaby jak najdalej idąca pomoc ze strony dotychczasowych delegatów i członków rozsianych po wszystkich powiatach, przez nadsyłanie dokładnych i sumiennych informacyi, bez wyczekiwania na wezwanie towarzystwa i naturalnie wzajemne porozumienie się między sobą w poszczególnych powiatach. Zdaje mi się, że pomoc taka, nadałaby przeprowadzeniu ostatecznemu reorganizacyi tempo tak szybkie, że w niedługim czasie jużbyśmy ją mieli*).

Trzech lat było potrzeba by na porządek dzienny weszła sprawa, co do której miałem i mam przekonanie, że wprowadzenie jej w życie i użycie byłoby jednym z wybitniejszych czynników, dla sanacyi stosunków niszczących gospodarstwo łowieckie. Przed trzema laty, na walnem zgromadzeniu w roku 1902 postawiłem wniosek, ażeby członkom towarzystwa łowieckiego danem było prawo wkraczania w razie dostrzeżenia przekroczeń ustawy łowieckiej, szczególniej co do sprzedaży zwierzyny i czasu ochrony; przytem podałem analogię towarzystwa ochrony zwierząt i proponowałem by członków towarzystwa łow. zaopatrzyć w tym celu w odpowiednie legitymacye.

Było to w czasie, kiedy wszyscy zostawali pod wrażeniem wniosku posła Żardeckiego i projektu nowej ustawy łowieckiej. Wychodząc prawdopodobnie z założenia, że

*) Właśnie Wydział pokonał już wspomnione przez Szan. Autora trudności, gdyż rozsyłka listów nominacyjnych jest na ukończeniu. Przyp. Red.

nie jest dobrze, ale mogłoby być jeszcze gorzej (co dość wyraźnie zaznaczono) więc najbezpieczniej cicho siedzieć, odpowiedziano mi, że na to zawcześnie, i na tem się skończyło. (Łowiec 1902 Nr. 13. str. 157). Sprawa ta bardzo ważną i poważną mi się wydaje, więc serdecznie się ucieszyłem czytając, że na tegorocznem zgromadzeniu wniosek ten ponownie po trzech latach przez kogo innego postawiony, przez walne zgromadzenie został przyjęty, z dostatecznem przez aklamacyę uznaniem ważności i żywotności.

Jako jeden z pierwszych, którzy tę sprawę podnieśli, korzystam z przysługującego mi prawa zwyczajowego i pozwalam sobie przypomnieć sferom decydującym, że jest to sprawa do załatwienia, jeszcze raz ją najgoręcej polecając.

Zdaje mi się, że zbytnich trudności nie będzie, gdyż to nie potrzebuje przechodzić drogi ustawodawczej, a wystarczy rozporządzenie namiestnictwa, które racyonalnym żądaniom nie odmawia.

Teofil Gordaszewski.

ERNEST HR. SYLVA-TAROUCA.

Hodowla jelenia.

(Dokończenie.)

Słabsze jelenie niedopuszczane są przez silne, a gdy te są wyczerpane, zastępują je inne silniejsze. Ta ciągła zmiana na rykowisku podnieca popęd łań, które w momencie jego największego natężenia zapładniane zostają przez najsilniejsze byki. Łatwo sobie wyobrazić, jak dodatnio oddziaływa to na przyrost, to też 542 łań, dały, włącznie z odstrzelonemi, 181 cieląt, czyli 75% przyrostu. Wiedząc z doświadczenia, że nie każda łania bezwarunkowo zapładnianą zostaje, musimy rezultat ten uważać za świetny. Do tak pomyślnego ustosunkowania płci i wieku doprowadzić mógł tylko dobrze obmyślony i racyonalnie przez kilka lat z rzędu wykonywany plan odstrzeliwania, dla którego myślą przewodnią było: strzelanie pośledniejszych spiczaków i widłaków, oszczędzanie szóstaków, ósmaków i dziesiątaków, a silniejsze odstrzeliwanie jeleni łownych.

Jako ilustracyę powyższych słów, podaję zamieszczony w roku 1898 w N-rze 7 cytowanego czasopisma „Wild und Hund“ plan odstrzeliwania i stan zwierzyny w rewirach łowieckich księcia na Pszczynie, 11,000 hektarów obejmujących.

A) Liczba i klasa odstrzelonych sztuk

	Jelenie										Łanie i Cielęta				
	20-ki	18-ki	16-ki	14-ki	12-ki	10-ki	8-ki	6-ki	Spiczaki i widłaki	Razem	Łanie	Łańki	Cielęta	Razem	Ogólna suma
w roku 1894	1	2	3	6	10	12	3	3	17	57	29	30	36	95	152
„ 1895	1	7	8	7	16	7	13	6	6	71	46	16	20	82	153
„ 1896	2	5	3	15	4	6	3	7	10	55	9	29	36	74	129
„ 1897	—	5	6	11	11	8	4	5	21	71	28	20	26	74	145
Razem	4	19	20	39	41	33	23	21	54	254	112	95	118	325	579
Przeciętnie razem	1	5	5	10	10	8	6	5	14	64	28	24	30	82	146

B) Liczenie zwierzostanu wykazało

	20-ki	18-ki	16-ki	14-ki	12-ki	10-ki	8-ki	6-ki	Spiczaki i widłaki	Razem	Łanie	Łańki	Cielęta	Razem	Ogólna suma
8 stycznia 1895	—	10	11	35	68	63	62	70	87	386	213	83	145	441	827
12 „ 1896	1	7	15	46	50	65	72	60	70	386	218	84	154	456	842
9 „ 1897	2	5	15	48	65	69	77	49	86	416	207	81	153	441	857
31 grudnia 1897	3	0	16	46	64	76	78	73	69	426	237	95	168	500	926

ad. III. Cyfry tu podane świadczą wymownie, jak bezmyślne odstrzeliwanie kapitalnych i silnych jeleni, bez względu na ukształtowanie co do wieku i przyrostu w pojedynczych kategoryach, prowadzi zwierzostan szybko do upadku i zwyrodnienia. Ponieważ tu mniej cieląt, a więcej byków i łań idzie pod strzał, więc skutkiem tego przymnaża się niepomiernie łaniek i średniaków a silniejsze znów odstrzeliwanie jeleni łownych, prowadzi do tego smutnego rezultatu, że po dwóch latach znikają zupełnie byki kapitalne, jako i silne. Przyjmując nadto, że 2 jelenie łowne lub prawie łowne padną przed peryodem bekania się łań lub w czasie tegoż, to pozostanie ich tylko 4 do pokrycia 62 łań, co stanowczo do zwyrodnienia zwierzostanu doprowadzić musi.

ad. IV. Zbytecznem byłoby dowodzić, że przy wprowadzeniu poprawczego planu odstrzeliwania, jako środka przywrócenia normalnego stosunku w zwierzostanie, zależy głównie na silniejszem odstrzeliwaniu cieląt i bezrogiej młodzieży, a przedewszystkiem chorych i słabych, zarazem na ograniczonem strzelaniu jeleni, z wyjątkiem złych, do rozpłodu niezdatnych sztuk.

Na pytania kiedy strzelanie jeleni jest właściwe i odpowiada celowi, odpowiedzieć można w ogóle, że wtedy gdy rogi i cąbr przedstawiają największą wartość i gdy polowanie daje myśliwemu najwyższe zadowolnienie łowieckiej namiętności; w szczególności zaś, uważam w tej mierze za miarodajne następujące zasady:

1. Jelenie nie powinny być strzelane przed oczyszczeniem rogów, takie trofea byłyby niegodnemi prawdziwego myśliwca. Spiczaki wszakże, guzowatych wyrostków dostające, strzelać można przez cały prawem określony czas polowania. Chociaż te przepisy prawne dozwalają w niektórych miejscowościach strzelać jelenie po rykowisku, jednakże lepiej jest zostawić je w spokoju i jak powiedział nadleśny Merrem, zamiast strzelać, dobrze karmić. Trzeba mu w tem przyznać słuszność, gdyż po rykowisku i w czasie zimy jelenie bardzo spadają z mięsa, a strzelanie ich w tej porze mniejszą sprawia przyjemność, aniżeli na rykowisku silnych, w dobrem mięsie będących byków. Stare, tłuste byki odznaczają się wielką przebiegłością i to spotkaniu z niemi nadaje nowy dla myśliwego powab, chociaż ja najwięcej cenię zdobycie wspaniałego byka na podjeździe, w czasie rykowiska. Średnie i słabe jelenie, ze względów praktycznych, należy bezwarunkowo strzelać wtedy, gdy są w dobrem mięsie.

2. Łanie, łańki i cielęta, podług ogólnie przyjętej zasady, strzelane są, z wyjątkiem prawem określonego czasu ochrony, po rykowisku, aż do końca grudnia, gdyż wtedy jeszcze dobrze trzymają się w mięsie, a strzelanie jeleni nie wchodzi w drogę, bo powinno już być zawieszone. Zasadę tę uznaję, do pewnego stopnia, co do łań i cieląt, ale co do łaniek i starych jałowych sztuk, wiele względów przemawia za przyspieszeniem tego terminu i odstrzeliwaniem ich już w sierpniu. Latem łańki daleko łatwiej odróżnić od łań, aniżeli w późnej jesieni, tem łatwiej stare jałowe sztuki, gdyż w tym czasie matki nie rozłączają się nigdy z cielętami — przy bardzo licznym zwierzostanie szczególnie poleca się rozpocząć to odstrzeliwanie wcześniej, za czem przemawia i ten wzgląd, że w tej ożywionej porze wycieczek letnich i kuracyjnych, większy jest popyt na zwierzynę. Jesienią znów, w czasie rykowiska i strzelania byków, często trafić się może sposobność posłania kuli jakiej szczupłej łańce lub marnemu cielakowi, której opuszczać nie należy. Według mnie, wcześniejsze odstrze-

liwanie cieląt może być tylko z pożytkiem dla łań matek i przyrostu przyszłego, gdyż uwalniając łanię przed zimą od cielęcia, zapewnia się lepsze warunki bytu i rozwoju tak dla niej, jak i dla płodu, który nosi.

Co do sposobu odstrzeliwania, to aby takowe prawidłowo odbywać się mogło, zaniechać należy obław i naganek, a strzelać jedynie z podjazdu lub na stanowisku. Jak każda zasada, tak i ta dopuszcza wyjątkowe okoliczności. Gdy właściciel chce większej liczbie gości sprawić przyjemność myśliwską, wtedy zwierzyna, która się zwykle w jednych rewirach więcej gromadzi, a w drugich jest przechodnią, tylko przy pomocy naganki na strzał przyjść może; tak samo użycie naganki jest konieczne, gdy chodzi o przepłoszenie zwierzyny w zapustach i kulturach, gdzie szkody robi. W ogóle jednak pierwszeństwo oddawać trzeba dwom pierwszym sposobem, a to z następujących powodów.

Obławy i naganki, połączone z nieuniknionym hałasem, niepokoją zwierzynę, co gdy się często powtarza, zwłaszcza przy użyciu psów, szkodliwy i dalej sięgający wpływ na zwierzostan wywiera. Następnie, na tego rodzaju polowaniach, zwłaszcza większych, strzały dawane nie mogą czynić zadosyć jakościowemu regulowaniu zwierzostanu, bo trudno wymagać od uczestników polowania, aby każdą sztukę przed strzałem badali i szacowali jej kwalifikacye, co zresztą w czasie pędzenia byłoby niemożliwe. Wreszcie strzał z podjazdu lub na stanowisku w normalnych stosunkach, nietylko pozwala racyonalnie wypełniać zadanie preliminowanego planem odstrzeliwania, lecz nadto daje największą sumę przyjemności łowieckiej, czy to późną jesienią, czy wśród cichego, surowem swem pięknem czarującego krajobrazu zimowego.

Najlepszą sposobność do odstrzeliwania sztuk, planem wskazanych, a do rozpłodu nie kwalifikujących się, daje czas i miejsce zimowego karmienia, podczas którego dozorca lub strzelec może z czatowni lub innego osłoniętego schronienia, odpowiednie sztuki do strzału wybierać. Obowiązany on jest dawać tylko pewne strzały, aby zwierzyny darmo nie płoszyć, dlatego po strzale powinien pozostać w ukryciu, nie krzyczeć, ani trąbić, dopóki zwierzyna nie oddali się dostatecznie.

Wtedy dopiero można przystąpić do ubitej sztuki, albo gdy nie padła w ogniu, iść jej śladem. Patroszyć zwierzyny na miejscu nie można i jak najprędzej trzeba ją od paśników usunąć. Zachowując te ostrożności i nie strzelając zbyt często, raz po razu przy tych samych paśnikach, zwierzyny zanadto się nie płoszy i nie przeszkadza dalszemu spożywaniu zadawanej paszy. Jeżeli w większych rewirach paśniki są dalej od siebie rozmieszczone, a pasza zadawaną jest nie jednocześnie, wtedy za jednym obchodem resp. podjazdem dobry i wytrawny strzelec może na rozkładzie więcej naliczyć sztuk, aniżeli podczas polowania z naganką, a co najważniejsza, bez niepokojenia zwierzyny i z większym pożytkiem dla regulowania i przyrostu zwierzostanu.

Może ściągnę na siebie zarzut rozwlekłości i powtarzania znanych rzeczy, ale będąc przekonany, że najlepiej obmyślony plan odstrzeliwania pozostaje bez skutku, jeżeli przez wykonawców, t. j. strzelców, nie jest poparty wytrawnością i spokojem przy strzelaniu, oraz sumiennością przy poszukiwaniu postrzałków, przeto nie mogę się powstrzymać od streszczenia w tem miejscu obowiązujących w tym względzie prawideł, które chciałbym wrazić w pamięć myśliwych i strzelców.

Strzelec powinien najprzód patrzeć, odpowiednią sztukę wybrać, odległość okiem zmierzyć, dopiero potem strzelać. Uważam w ogóle, że strzelanie bez koniecznej potrzeby zwierzyny łownej, na każdą odległość, nawet przy najlepszej broni nie jest rzeczą łowiecką. Wiadomo, jak łatwo myśliwemu, uniesionemu zapałem po strzale, zbić się z tropu w poszukiwaniu postrzałka, dlatego poleca się przed strzałem, zaznaczyć w pamięci stanowisko zwierzyny za pomocą jakiego wyróżniającego się przedmiotu, np. białego kamienia, pieńka, lub odłamanej gałęzi; tak samo zaznaczyć należy własne stanowisko przed opuszczeniem go. Jeżeli jest dwóch strzelców, to jeden pozostaje na miejscu, a drugi udaje się na poszukiwania postrzałka. Gdy zwierzyna nie leży w pobliżu, lecz uszła dalej w gąszcze, należy jej szukać z tropowcem, nie następując zbyt nagle, chyba że ulewny deszcz nadchodzi lub już pada. Wszystko, co w tej kwestyi powiedziałem, stosuje się również do strzelania sarn i kozic, dlatego w odnośnych rozdziałach wracać już nie będę do tego przedmiotu, jak również do ostatniego pytania, jakie mamy do rozwiązania: Kto jest powołanym do wykonywania planu odstrzeliwania?

Hodowla zwierzyny nie jest sama w sobie celem i zadaniem dla właściciela większych rewirów łowieckich, lecz raczej źródłem dochodu i wyższych przyjemności myśliwskich, jakich dostarcza jemu i zaproszonym uczestnikom polowania. Pierwszeństwo strzału słusznie się więc należy właścicielowi i gościom jego, pożądanem tylko jest, aby wybór ich czyniony był z pewnemi zastrzeżeniami, o co zresztą właściciel, o ile sam jest racyonalnym myśliwym i dba o zwierzynę swoją, starać się z pewnością będzie. Nieostrożnych, źle strzelających i zachowaniem swojem obrażających prawidła łowieckie, lepiej nie zapraszać, a gdy chodzi o odstrzeliwanie sztuk nadetatowych, do rozpłodu niezdatnych, na stanowisku lub z podjazdu, bezwarunkowo panów takich nie można zostawiać samych w rewirze, ale trzeba im dodawać towarzysza w osobie doświadczonego, znającego swój rewir i zwierzostan, strzelca. Gdy sam właściciel te warunki posiada i rozporządza przytem wolnym czasem, może w niezbyt wielkim rewirze osobiście tę ważną dla przyszłości zwierzostanu funkcyę spełniać, w przeciwnym jednak razie lepiej powierzyć ją wytrawnemu strzelcowi, który, przebywając wciąż w rewirze, zna go i zwierzynę, lepiej niż sam właściciel. Spełniając umiejętnie i sumiennie swoje zadanie, będzie je czynił coraz łatwiejszem, gdyż w miarę usuwania sztuk słabych i chorych, powiększy się liczba łownych i kapitalnych jeleni, których zdobycie dostarczać będzie coraz więcej rozkoszy łowieckich właścicielowi.

W OBRONIE SÓW.

Nie zamierzam tu pisać monografii pojedynczych gatunków sów, co najwyżej podam tu najbardziej charakterystyczne ich cechy, po których każdy odrazu rozpoznać je może. Głównym celem tej pracy jest wykazanie szkodliwości względnie pożyteczności dla łowiectwa i rolnictwa każdego z osobna gatunku w mowie będących ptaków, a co za tem idzie, chciałbym wziąć w gorącą obronę te prawie bez wyjątku bardzo pożyteczne zwierzęta i jeżeli nie wyplenić, to przynajmniej ograniczyć ten wprost bez-

myślny zwyczaj strzelania sów wszędzie gdzie się uda, a najczęściej na polowaniach z nagonką, który niestety tak często, a głównie przez młodszych myśliwych u nas się praktykuje.

Prawie w całej Europie sowy są pod ochroną ustawy. Wyjątek stanowią w tym względzie tylko Francya i Rosya, gdzie sowy są skazane na wytępienie. Nie może to jednak stanowić dowodu szkodliwości danego gatunku, tem bardziej, że w obu tych krajach łowiectwo stoi dość nisko. Wszystkie zresztą państwa kulturalne wzięły dawno ten gatunek w obronę a i nasza ustawa łowiecka zakazuje tępienia sów, z wyjątkiem puhacza (Bubo maximus).

Nie wszystkie jednak leśne gatunki sów są pożyteczne i ustawę tę należałoby do pewnego stopnia zmienić t. j. kilka innych a względnie jeden jeszcze ich gatunek z pod ochrony wyłączyć, o czem bliżej pomówimy.

Do fauny polskiej zaliczamy 13 gatunków sów; podzielmy je na szkodliwe i pożyteczne:

Szkodliwe są:

1. *Puhacz* (Bubo maximus, Uhu).
2. *Sowa uralska* (Syrnium uralniense, Habichtseule).
3. *Sowa jarzębata.* (Surnia nisoria, Sperbereule) i
4. *Sowa mszarna* (Syrnium laponicum, Bartkauz).

Gdy jednak zważymy, że sowa jarzębata jest u nas wielką rzadkością a sowa mszarna do fauny galicyjskiej nawet się nie zalicza, to przekonamy się, że pozostanie nam prócz puhacza jeszcze jeden tylko gatunek szkodliwy, t. j. sowa uralska, do której ustawa uchronna zastosowaną być nie powinna i którą też bezwarunkowo tępić by należało.

W s z y s t k i e i n n e s o w y s ą p o ż y t e c z n e, względnie dla rolnictwa i łowiectwa obojętne i jako takie powinne być bezwzględnie chronione, a kto je tępi, wyrządza krzywdę rolnictwu, łowiectwu i przyrodzie.

Pożytecznemi są:

5. *Sowa śnieżna,* (Nyctea nivea, Schneeeule).
6. *Puszczyk,* (Syrnium aluco, Waldkauz).
7. *Sowa włochata,* (Ulula dasypus, Rauchfusskauz).
8. *Pójdźka,* (Athene noctua, Steinkauz).
9. *Sowa karliczka* (Glacidium passerinum, Zwergeule).
10. *Sowa płomykowata,* (Strix flammea, Schleier-Kauz).
11. *Sowa błotna,* (Otus brachyotus, Sumpfeule).
12. *Sowa uszata* (Otus deminuta, Waldohreule) wreszcie
13. *Puhacz syczek,* (Ephialtes scops, Zwergohreule).

S z k o d l i w e.

1. *Puhacz.* Największa z sów. (Skrzydło złożone 430 do 500 mm.) Płowo rudawy, czarno mocno upstrzony, na podgardlu i podbródku dwie duże plamy białe. Czubki (uszy) dwucalowe ostro zakończone, które ptak dowolnie pionowo nosić lub na boki rozchylać może. Szlara*) wyraźna.

Ptak ten zamieszkuje Karpaty, również często spotyka się go na całem naszem podgórzu, i w skalistych okolicach nad Dniestrem, na naszem i rosyjskiem Podolu. J e s t t o n a j s z k o d l i w s z y d r a p i e ż n i k, k t ó r y w s z ę d z i e i p r z y k a ż d e j s p o s o b n o ś c i t ę p i o n y m b y ć p o w i n i e n.

2. *Sowa uralska.* Po puhaczu największa w Galicyi sowa. (Skrzydło złożone 360 do 400 mm.) Długi ogon, szarawo i białawo pstra, oczy duże, czarne, dziób morelowo żółty (za życia). Ptak ten na naszem Podgórzu i w kniejach naddniestrzańskich na Podolu pospolity. S z k o d n i k w i e l k i, t ę p i o n y m p r z y k a ż d e j s p o s o b n o ś c i i z p o d o c h r o n y u s t a w ą p r z e p i s a n e j j a k n a j p r ę d z e j, w y ł ą c z o n y m b y ć p o w i n i e n.

3. *Sowa jarzębata,* znacznie mniejsza od poprzedniej (skrzydło złożone 235 do 245 mm.) Z wierzchu szara, miejscami biało plamista, od spodu szaro falowana, na ogonie 12 wązkich białych przepasek. Szlara wyraźna, obwiedziona od góry i po bokach czarną pręgą. Oczy cytrynowo żółte.

Śliczna ta sowa jest mieszkanką północy, do nas rzadko i tylko zimą zalatuje, u nas szkodliwą więc być nie może, w Syberyi niszczy w dzień nawet kuropatwy.

4. *Sowa mszarna,* mało co mniejsza od puhacza. Wyraźna popielata szlara, oczy niewielkie żółte, kolor popielato szary. U nas w Galicyi nie egzystuje. Zamieszkuje północne okolice starego lądu, na Litwę zalatuje a nawet tamże w lasach pustowskich na granicy Inflant ma być miejscową.

W ojczyźnie swej jest bardzo szkodliwą, tępi bowiem bielaki, głuszce, cietrzewie, pardwy, a nawet drobniejsze ptactwo.

P o ż y t e c z n e.

5. *Sowa śnieżna.* Wielkości sowy uralskiej (skrzydło złożone 400 do 420 mm.). Śnieżysto biała, śniado gdzieniegdzie centkowana (samiec) lub w poprzek falowana (samica). Nogi po same pazury kosmate, oczy cytrynowo-żółte. Śliczny ten ptak jest mieszkańcem dalekiej północy obu lądów. Do nas bardzo rzadko i tylko zimą zalatuje. Nie można się dziwić myśliwemu, jeśli raz w życiu może spotkawszy tego rzadkiego gościa, dla kolekcyi go zastrzeli.

W ojczyźnie swojej sowa ta jest bardzo pożyteczną, tępi bowiem szkodliwe gryzonie.

6. *Puszczyk.* (Skrzydło złożone około 280 mm.). Popielato szara lub rdzawa, subtelnie brunatno prążkowana, na barkówkach szereg białych plam okrągłych. Ogon cokolwiek dłuższy od ciała, oczy duże prawie czarne.

Jestto jedna z najpospolitszych naszych sów, znajduje się bowiem we wszystkich naszych lasach, sadach, opustoszałych murach, miastach i budynkach gospodarskich. Zdarza się często, że mieszka w gołębnikach obok gołębi, które z tego sąsiedztwa nic sobie nie robią. Żywi się myszami i innymi polnymi szkodnikami i z a s ł u g u j e n a b e z w z g l ę d n ą o c h r o n ę.

7. *Sowa włochata.* Mała sówka (skrzydło złożone 172 do 185 mm). Z wierzchu oliwkowo szara miejscami biało popielata, na sterówkach po 5 par białych zaokrąglonych plam. Oczy żółte, szlara biała drobno upstrzona plamkami koloru płaszcza. Palce suto upierzone aż po same szpony. W Karpatach, pospolita, na równinach rzadka, trzyma się większych lasów, do budynków się nie zbliża. Żywi się myszami, ćmami i nocnymi owadami, nie pogardza też i drobnem ptactwem, które wybiera z noclegów. Więcej pożyteczna niż szkodliwa a dla myśliwstwa obojętna. Z a s ł u g u j e n a o c h r o n ę.

8. *Pójdźka.* Trochę mniejsza od poprzedzającej (skrzydło złożone 153 do 168 mm.). Z wierzchu szara, białawo upierzona, od spodu biaława, ciemno grubo plamista, na ogonie 5 przepasek płowych w środku przerwanych, nogi skąpo upierzone, oczy żółte, szlara niewyraźna odznaczona tylko ciemniejszym krążkiem.

U nas bardzo pospolita, trzyma się ogrodów, starych zabudowań, alei lipowych i starych murów, w lasach

*) Długie, wąskie piórka rozchodzące się promieniowato od oczu, tworzące jakby tarczę, które nazywają się szlarą.

rzadko przebywa. Żywi się głównie myszami i zasługuje na bezwzględną ochronę.

9. *Sowa karliczka:* Mało co większa od wróbla (skrzydło złożone 94 do 102 mm.). Szaromyszata, drobno białawo plamista, oczy żółte.

Według Taczanowskiego u nas dość pospolita, ale skrycie bardzo żyje, przytem mała i dlatego tak rzadko się ją widuje. Trzyma się starych liściastych lasów.

Już sama jej wielkość świadczy o jej niewinności. Żywi się myszami, w lecie ćmami i owadami. Zasługuje na ochronę.

10. *Sowa płomykowata.* Z wierszchu popielata subtelnie prążkowana i nakrapiana, od spodu gliniasto rudawa lub biała. Trochą większa od puszczyka (skrzydło złożone 290 do 305 mm.). Charakterystyczną cechą, po której ją natychmiast poznać można, jest jej szlara nadzwyczaj wyraźna, sercowata, koloru brudno białego lub różowawego, przy oczach brunatna. Oczy prawie czarne. Śliczna ta sowa jest u nas dość pospolitą choć nigdzie nie jest liczną. Przebywa po budynkach gospodarskich, kościołach, wieżach i ruinach.

Na światło niesłychanie drażliwa, poluje tylko nocą na myszy, szczury i drobne ptaszki z noclegów wyłapuje. Nigdy nie napada na większe ptaki, z gołębiami w gołębnikach często przesiaduje i zgodnie z nimi żyje. Jest jednym z najpożyteczniejszych ptaków naszych i na bezwzględną ochronę zasługuje.

11. *Sowa błotna.* Mniej więcej tej samej wielkości co poprzednia (skrzydło złożone 304 do 312 mm.). Czubki (uszka) bardzo krótkie, mało odznaczone, wierszch płowy, czarniawym kolorem upstrzony, spód blado płowy, podłużnie płomykowaty, oczy cytrynowo żółte.

Ptak to u nas pospolity, choć się tutaj nie gnieździ. Pełno go podczas wiosennych a szczególnie jesiennych przelotów. Zostaje u nas do zimy a czasem gdy powietrze łagodne, u nas zimuje. W jesieni przebywa po kartoflach, scierniach, łąkach, krzakach i z kraju lasów. Doskonale widzi i w dzień, lecz poluje dopiero o zmroku, według Taczanowskiego łowi bardzo sprytnie bekasy, przepiórki a nawet i kuropatwy, głównem jej jednak pożywieniem są myszy i inne gryzonie, które tępi w znacznej ilości, przez co jest bezwarunkowo więcej pożyteczną niż szkodliwą i zasługuje na ochronę.

12. *Sowa uszata.* Tej samej wielkości, co poprzednia (skrzydło złożone 280 do 310 mm.). Płowo rudawa; czubki z kilku piórek złożone na cal wysokie, na boki rozchylone robią ją podobną do puhacza. Oczy pomarańczowe. Mieszka wszędzie w naszych lasach, lecz nigdzie nie jest liczną. Żywi się jedynie myszami i innymi drobnymi ssakami, jest bardzo pożyteczną i na bezwzględną zasługuje ochronę.

13. *Puhacz syczek.* Trochę większy od sowy karliczki (skrzydło złożone do 160 mm.). Szaro rudawy, na barkówkach plamy płowe lub rudawe. Po bokach głowy czubki dłuższych piórek tworzą uszka jak u puhacza. Oczy cytrynowo żółte.

Drobna ta sówka jest mieszkanką Europy południowej, u nas jest rzadkością. W Karpatach mianowicie po stronie węgierskiej częściej się spotyka. Żywi się myszami, żabkami i nieżywemi rybkami. Jest stworzeniem niewinnem i tępionem być nie powinno.

Jak więc widzimy z wyjątkiem puhacza i sowy uralskiej wszystkie inne sowy u nas stale mieszkające są ptakami pożytecznymi i zasługują na ochronę. Tępienie ich jest lekkomyślnością niegodną myśliwego.

Sowy są przyjaciółkami łowca — rolnika. Przyroda szczególnie się niemi zaopiekowała, pozwalając im jedynym z ptaków szukać obfitego pożywienia wśród nocy, wtedy gdy wszelkie szkodliwe gryzonie z ukrycia wychodzą na żer, a inne pożyteczne ptaki spią w ukryciu.

Przyroda oddała jakoby w opiekę ludziom te śliczne stworzenia każąc wielu z nich mieszkać pod wspólnym z nimi dachem. A w oczach małych stworzeń maluje się tyle sprytu i mądrości, tyle wdzięku i dumy, że po zabiciu, którego z nich, żal się robi, zagasną te pogodne i łagodne źrenice, które świeciły tylko przyjaźnią dla ludzi.

Albert Mniszek.

Sprawozdania delegatów.

(Dokończenie.)

Taaak! odrzekła pani i odeszła, ale to „tak“ wypowiedziała takim przeciągłym i zdziwionym tonem, że mnie ciarki od stóp aż do głowy przeszły i jak mi zadzwoniło wtenczas w uchu, tak mi jeszcze do dziś dnia dzwoni. I nie jest że to awantura co się zowie? Szczęściem że nie jestem żonatym, bo wtenczas mogło było jeszcze gorzej wypaść i jeszcze gorsza awantura nastąpić, zanim by się to qui pro quo wyjaśniło.

Ale wracam do rzeczy. Trzeciego dnia po przybyciu puhacza idziemy już obydwa z Kiryłą do budy, biorąc po 20 ładunków z sobą, ustawiamy puhacza i ledwo wskoczyliśmy do budy, mrowie jastrzębi jak szalone już bije na puhacza a my strzelamy do nich raz za razem bez przerwy, bez ustanku, a jastrzębie, nie zważając na strzały, coraz zawzięciej, coraz wściekłej kwiląc i mknąc z szybkością błyskawicy, biją na puhacza, nie zważając nawet na nas, choćmy się do połowy z budy wychylali, aby je nam lepiej było brać w krzyżowy ogień. Naraz patrzymy, puhacz przewrócony leży na ziemi, wtedy Kiryło wyskoczył a jastrzębie na ten widok szybko się rozpierzchły. Wyszedłem więc i ja, szczęściem któryś z jastrzębi tylko skrzydłami lub piersiami tak silnie uderzył w puhacza, że go aż przewrócił, nie uszkodziwszy nigdzie, podniósł więc Kiryło puhacza i schował do budy, poczem zaczęliśmy oglądać pole walki.

Na pobojowisku leżało 9 jastrzębi a 4 zbarczone podskakując rejterowały po zagonach, ba ale i pastuchy pasący bydło po polach, jeszcze nam tego samego dnia 3 przynieśli, — zabiliśmy więc tego polowania razem 16 jastrzębi choć rzecz pewna, że ich jeszcze w dali więcej pospadało, bo z nich znajdowano ale już tylko po kupie piór, głowy i łaby z szponami, widocznie były przez lisy pojedzone.

Był to drugi ale i ostatni dzień tak olbrzymiej walki z jastrzębiami gdzie wszystkie ich pułki jakby z całego świata zebrane uderzały na puhacza. Odtąd najwyżej jak ich przyleciało 7 — 8 a gdy z nich padło 2 — 3 zaraz się reszta cofała a zwinąwszy nieruchomie na jednem miejscu o jakie kilkaset kroków od puhacza, zdawały się coś między sobą jakoby naradzać i od czasu do czasu żałośliwie kwilić, w końcu odlatywały rozdzieliwszy się jedne w jedną, drugie w drugą stronę — a gdy już długo niebyło z nich

widać żadnego na firmamencie, najczęściej zabierał się ten kto siedział w budzie, czy to ja sam czy Kiryło i wraz z ubitymi jastrzębiami powracał do domu. Prawie co dzień któryś z nas chodził do budy a za każdą razą nie z próżnemi rękami powracał, lecz trafiały się i takie dnie n. p. w słotę, że się wcale niewychodziło na to polowanie. — Podczas takiej pauzy rozmyślałem często nad tem, dlaczego te jastrzębie gdy w małej ilości przylatują, a z nich się jednego lub dwa ubije, dlaczego reszta zmyka a odleciawszy jakie kilkaset kroków zwisają nieruchomie w powietrzu, coś kwilą i coś jakby się między sobą nadczemś naradzały, trwało to nieraz długą chwilę, poczem rozdzieliwszy się na dwie partye, zawsze jedne na północny wschód, drugie na północny zachód, odlatują — a nigdy na południe. — Postanowiłem więc, za najbliższą razą, gdy się to z jastrzębiami powtórzy, nie wracać po zabiciu do domu, lecz czekać choćby do wieczora, czy się też doczekam lub niedoczekam tego dnia ich powrotu...

Tak więc pewnego dnia wybrałem się z postanowieniem niewracania choćby aż w sam wieczór do domu... Zaledwie się ulokowałem w budzie, pięć jastrzębi już jest przy puhaczu, ale rzecz dziwna, nieuderzają tylko zwisnąwszy nad nim, stoją nieruchomie i kwilą, wpatruję się w nie długą chwilę z palcem na cynglu a wybrawszy najpotężniejszego z nich, palę do niego, ten spada, reszta odlatuje, staje opodal nieruchomo i znów kwilą i znów niby się naradzają, kubek w kubek powtarzając proceder jak tamte poprzednio, wreszcie rozdzieliwszy się po dwa, odlatują w dwie strony. — Raz drugi i trzeci wyglądnąwszy przez rozsunięte kiezki w ścianach, czy nie zobaczę gdzie jastrzębia, gdy żadnego nigdzie nie było widać — usiadłem, paliłem sobie cygaro pytając w myśli, przylecą dziś jeszcze czy nie przylecą? i gdy tak siedzę już z jaką godzinę, w tem cień jakiś mignął i kuropatwiarz usiadł na sośnie, tuż zleciał siadł na ziemi obok puhacza a skrzecząc wciąż, cze cze cze, — cze cze cze, przelatywał z sosny na ziemię, a z ziemi na sosnę. Napatrzywszy się temu dosyć, pociągnąłem za cyngiel, kuropatwiarz spadł i ani zipnął; był to śliczny duży perlisto-siemieniaty okaz. Niedalej jak wpół godziny przyleciał drugi kuropatwiarz a usiadłszy na sośnie, spokojnie przypatrywał się puhaczowi, ubiłem i tego, ale ten był już mniejszy i nie siemieniasty lecz więcej szaro-ceglasty.

Tymczasem wielkich jastrzębi jak nie było tak niema z powrotem, minęło już jakie ze trzy godziny, gdy odleciały i ja znów zaczynam się namyślać, czekać jeszcze czy nie, ale postanowiłem czekać. — Była już 5-ta godzina po popołudniu gdy mi się zdało, żem niby zasłyszał kwilenie jastrzębi, ale chyba gdzieś jeszcze bardzo daleko, nadstawiam ucha, słyszę kwilą coraz bliżej, patrzę przez binokle w stronę głosu i wnet spostrzegam suną dwie bandy z dwóch stron, porywam za „Panienkę“ i z palcem na cynglu czekam.

W mgnieniu oka z wrzaskiem opadają te dwie bandy puhacza bijąc na niego jak opętane, ja walę do nich jak na rezurekcyi mierząc i nie mierząc a tak zgorączkowany, że nie mogę nawet prędko wystrzelonych ładunków wyrzucić a nowymi nabić i tak szamocząc się na wszystkie strony, strzelam i strzelam a jastrzębie nie ustępują, nie widzę nawet czy który spadł czy nie, aż w końcu wystrzeliwszy ostatni ładunek w strachu by mi jastrzębie nierozniosły puhacza wyskoczyłem z budy. Na mój widok w moment się rozleciały nie tknąwszy puhacza.

Zacząłem się rozglądać, niestety — na ziemi leżały tylko 3 jastrzębie widocznie, że w gorączce szalenie chybiałem, wszystkiego 9 razy strzeliłem bo już tylko 9 ładunków miałem po wystrzeleniu do kuropatwiarzy, zawsze zabiłem tego dnia 6 jastrzębi, dwa kuropatwiarze a cztery wielkie i z tem powróciłem do domu. Idąc rozmyślałem po drodze, a więc to taką sesyę odbywaliście? a z narady wam wypadło lecieć po sukurs, rozumiem. Ale jak daleką musiały odbyć podróż, gdy im aż pięć godzin potrzeba było zanim się zdołały zebrać i co najmniej w promieniu pięć — sześciu mil dokoła okolicy musiały te jastrzębie ten sukurs zwoływać.

Nie mogę sobie tej ich strategii w żaden sposób inaczej wytłumaczyć ani wyjaśnić, zwłaszcza gdy przy dalszem doświadczeniu prawie ciągle ten ich manewr się powtarzał, ale już nigdy ich się w takiej sile niezgromadziło jak pierwszego i drugiego dnia polowania gdzie zwłaszcza na początku w drugim dniu polowania, nawet zliczyć nie sposób było wiele ich na puhacza uderzało. Tak polując całe lato i jesień nieliczące wron i srok ubiliśmy ja i Kiryło co się do ręki wzięło, 183 sztuk przerozmaitego gatunku jastrzębi a pomiędzy tymi 19 kuropatwiarzy, ogromnego orła, którego Kiryła zastrzelił. Orzeł ten był tak dużych rozmiarów i tak potężny, że z pewnością byłby uniósł w powietrze sporego baranka *). — Widziałem w życiu mojem dużo rozmaitych wypchanych orłów, ale tak potężnego jak ten był, nigdzie mi się niezdarzyło spotkać. — Polowanie z puhaczem na jastrzębie (tak jak ja to doświadczyłem) niezaprzeczenie można zaliczyć do najprzyjemniejszych polowań (ale tylko tam gdzie one w wielkiej masie są) bo i wspaniała rozrywka i pożyteczna gdy się tyle drapieżnego i szkodliwego ptactwa wytępi, i dlaczegoż tak mało o tem polowaniu mówią, i dlaczego jeszcze mniej piszą a w szczególności u nas?

Ja przez trzy lata używałem do syta tej przyjemności polowania z puhaczem na jastrzębie, ale gdy za moim przykładem idąc (zobaczywszy u mnie taką masę zabitych) dwóch moich sąsiadów a mianowicie pan Floryan Kozłowski i p. Jan Capiński z Ładzinki i oni postarali się o żywe puhacze, to dziś już do tego przyszło, że ja u siebie chyba gdzie zaledwo kiedyś niekiedyś zobaczę przeciągającego jastrzębia, niema ich już u mnie i niema już zaczem iść do budy. Puhacz mój nie potrzebujący ani jeść ani pić, co jest rzeczą wyborną, stoi sobie spokojnie na szafie i drzemiąc, oczekuje wraz ze mną na lepsze czasy. Nie mogę tu pominąć jeszcze tej okoliczności, że raz umyślnie zaczatowałem i obserwowałem z budy przez binokle, jak w przeciągu jednego kwadransa, jeden jastrząb złapał i zjadł 17 myszy z dodatkiem małego zajączka, którego mu jednak, ale już nieżywego odebrałem **).

Mam ja jeszcze jedną okoliczność do zanotowania, której również nie mogę pominąć, by nie zwrócić uwagi na pewnego nikczemnego ptaka, w którym odkryłem straszliwego mordercę na równi z jastrzębiem kuropatwiarzem, a tego ptaszka nazywają u nas srokoszem. Nigdy nie byłbym się spodziewał po nim tak drapieżnej natury, gdybym się sam naocznie o tem nie był przekonał i mego Kiryły nie miał za świadka, bo byłbym myślał, że mi się przywidziało. Oto pewnego razu, idąc przez ścierń, furkły nam

---

*) Musiał to być prawdopodobnie Birkut bielik (Heliaëtos albicilla).

**) Te 17 myszy złapane i zjedzone w przeciągu kwadransa dały mi wiele do myślenia, ale znów ten zajączek nieprzyjemne wrażenie sprawił i ma się rozumieć żem i tego jastrzębia ubił.

z przed nóg dwie stare kuropatwy, a z niemi wraz zaczęło furkać całe stadko maleńkich kuropatewek i tuż zapadać, myśmy przystanęli, a stare zaczęły wabić do siebie maleństwo, naraz w jednej chwili przylatuje srokosz i mimo rozpaczliwej obrony przez stare, porywa jedną kuropatwę i unosi, w pierwszym momencie tej zgrozy zdumiałem tak, że jak to mówią oniemiałem z zadziwienia — bo żeby taki srokosz... w tem Kiryło, miał strzelbę na ramieniu, strzelił i zabił srokosza.

Takiś to ty mój ptasiu, że też ja dotąd nic niewiedziałem iż ty zbójecki proceder uprawiasz — poczekajże nieboże, odtąd, i żeś się poważył w mojej obecności zamordować to maleństwo, na cały twój ród wydaję wyrok śmierci. Drugim razem będąc w polu patrzę, a tu srokosz ściga za jakąś małą ptaszynką i w nie długiej gonitwie już ją ma, trzecim razem, spotkałem znowu srokosza, jak złapał kosa i w mgnieniu oka go zabił, w tej chwili spostrzegł drugiego kosa, puszcza więc tamtego i pędzi za tym drugim i znów go schwyciwszy, usiadł z nim na ziemi, lecz tego, przypatrujący się również temu zbójeckiemu napadowi mały pastuszek podbiegł i odbił, bo srokosz za zbliżeniem się chłopca nie mogąc unieść, zostawił kosa, a sam zemknął. Te trzy wypadki przekonały mnie raz na zawsze o krwiożerczej naturze srokosza, lecz gdzież mogłem przypuszczać, że tak marny ptak, podobny rozbójniczy proceder prowadzi. Zalecam więc każdemu, kto o tem jeszcze nie wie, bezwarunkowe tępienie tego rabuśnika.

Lecz jeszcze jedno słówko mam powiedzieć. Jest dla mnie węzłem gordyjskim, dotąd nierozwiązanym, dlaczego gdy od lat kilku prawie, że nic — ani zajęcy, ani kuropatw ani jarząbków niestrzelam u siebie, mimo, że obszar dworski wraz z obszarem gminnym wyżej półtora tysięcy morgów wynosi, dlaczego mimo to, zamiast co by tej zwierzyny z roku na rok miało się przymnażać, to przeciwnie z roku na rok jest jej co raz mniej? Lisy, jastrzębie wybiłem, łaski, kuny, tchórze, psy i koty ścigam niezmordowanie, cóż więc za przyczyna, że tej zwierzyny co raz mniej? Bo, że sarny zmalały u mnie ad minimum, to wiem dlaczego — sarny, to jak cygany lubią się włóczyć, bandami wychodzą w sąsiednie graniczne tereny, a tam już na nich dokoła czatują, zwłaszcza, że z trzech stron mam następujące sąsiedztwa. Po pierwsze, trzech chłopów kupiwszy wieś, są dziedzicami, no, a co chłop potrafi to wszyscy wiedzą, powtóre, że pani dziedziczka z drugiej wsi, sama mieszkając w mieście, wypuszcza swoim leśnym polowanie, którzy jej mają dostarczać zwierzynę na kuchnię, i to także każdy wie co znaczy, po trzecie, że administrator w trzeciej wsi, powiada sobie tak: dziś jestem a jutro może mnie już tu nie być a co mi tam a lubi polować, o lubi, więc bije zahałem wszystko co zobaczy z szczególniejszą pasyą do sarn, na które wolno już od maja polować, a które bez wyjątku nazywa rogaczami, ale zając, kuropatwa, jarząbek, to przecież zwierzyna, która się lubi miejsca lęgu trzymać, a zwłaszcza zając i kuropatwa. Pola są silnie, oziminami zasiewane, na zimę mają i w lesie i po polach stawianą karmę ponadziewaną na kołach w snopki z owsa i koniczu, no są też i zręby, z wzorowo, przez żydków wyrąbanego lasu, a i jałowce nieszpetne, dlaczegóż więc pytam się przy tem szanowaniu zwierzyny, przy obfitości żeru, tychże z roku na rok zamiast przybywać co raz mniej, zwłaszcza, że ani razu niespostrzegłem, by na jaką epidemię zające ginęły. Swoją drogą, jest tych zajęcy trochę, że nie mogę u siebie przystósować, iż nul von nul, ale zawsze jest ich bardzo mało, ale dlaczego tak mało, gdy, gdzie indziej, gdzie szanują, na jednem polowaniu pada ich więcej, jak ich u mnie wszystkich jest?

Prawdopodobnie, że ja sam sobie na to pytanie już nie odpowiem.

A. Morelowski.

Korespondencye.

Wał-Ruda, p. Radłów 20. września 1905.

Donoszę Szanownej Redakcyi, żem dnia 16. bm. pierwszą słonkę zastrzelił, widocznie jesienny ciąg już się zaczął.

Karol Scherautz.

Lwów, 23 września 1905,

W połowie września byłem w Sanockiem, gdzie polowałem na ptaki. Wróciliśmy wcześnie przed wieczorem, a gospodarz proponuje, abyśmy pojechali za San pod las, gdzie z koszów na ten cel wyplecionych zobaczyć możemy jelenie, sarny, lisy, zające; — zgodziłem się na to chętnie, więc pojechaliśmy.

Jeleni nie widzieliśmy — rogacz spłoszył się widząc nas idących do koszów — w kilka minut później wyszła koza z dwoma małemi i pasły się na 120 kroków od nas — za chwilę wystawia lis głowę z lasu, czekam aż wyjdzie na pole — ale on zobaczywszy sarny cofa się w las, obchodzi krajem do łąki zarośniętej szuwarem — następnie tym szuwarem podsuwa się do fosy i fosą czołga się ku sarnom — był od nich 20 kroków, w tem mama zobaczyła lisa i galopuje do niego — lis wyskoczył z fosy na ścierń i ucieka — koza za nim i dała mu trzy obroty jak chart i byłaby go stratowała, ale lis w krytycznej chwili robił nagłe zwroty, czem się wykręcił — widać był mocno nastraszony, bo uciekł wyciągniętym galopem w pola.

Wczoraj polując z legawym w okolicy Lwowa zabiłem, w kilkunastu krzakach łoziny wyrosłych wśród znacznej przestrzeni łąk i pastwisk słonkę — zdaje się, że w tym roku będzie ciąg jesienny obfity — pojawienie się tak wczesne słonek ma być jak mówią przepowiednią wczesnej zimy — czy się sprawdzi zobaczymy.

Słyszałem, że przed paru dniami zabito słonkę w Niesłuchowie, a drugą w Grzymałowie.

Teofil Żurowski.

Lwów 5. października 1905.

Tegoroczny martwy sezon letni odbił się na „Łowcu“ bardziej może niż w inne lata. Towarzysze w św. Hubercie milczą jak zaklęci i doprawdy więcej opowiadań i zdarzeń myśliwskich usłyszeć można w sklepie p. Dzikowskiego lub w pracowni p. Tabaczkowskiego, gdzie jak wiadomo wszyscy prawie odbywamy myśliwskie spowiedzi, aniżeli wyczytać w Łowcu choćby zebrawszy kilka ostatnich numerów razem.

Radziłbym szanownej Redakcyi, aby sprawiła fonograf i ustawiła go w odpowiedniem miejscu, a może choć tą drogą bezwiednie dostanie się jakie ciekawe z życia wzięte swojskie opowiadanie na łamy Łowca.

Nie chciałbym robić nikomu wymówek za milczenie, ale to naprawdę trochę myśliwski obowiązek zasilić własne a jedyne pismo myśliwskie; a jestto także trochę egoizm

chować dla siebie tylko, lub dla ciasnego kółka najbliższych, ciekawe a zawsze zajmujące wrażenia myśliwskie.

Gdyby kto ustawił w porze rykowiska rogatkę na dworcu w Stryju, a przy niej z ramienia redakcyi Łowca reportera, jużby Łowiec nie był w kłopocie o korespondencye i wiadomości, wystarczyłoby może nawet rozmówić się ze znanym „Bazylim" w Stryju, a zarazby opowiedział, że Arcyksiążę pojechał już ze Skolego do Mizunia, „wieźli coś pięć par rogów ale same kiepskie", powiedziałby p. Bazyli, że p. hr. Starzeński wiózł przez Stryj parę wieńców i całego zabitego w Skolem niedźwiedzia „jak dobra jałówka" — że p. hr. Bielski wiózł dwie pary wieńców z Niebyłowa „w słomę owinięte, ale jedne zwłaszcza były bardzo ładne" — że p. Marmoross wiózł, aż trzy pary rogów, że panowie ci jechali ze Smorza, opowiadali coś o zabitej wilczycy, o bardzo mądrym „schweisshundzie", który uciekł, jak jelenia postrzelonego zobaczył -- opowiedziałby Bazyli o różnych innych panach, którzy wracali z dwoma, z jedną parą rogów, lub wreszcie z kwaśną miną i bez rogów.

Ze zdarzeń, o których te wieńce przez Bazylego rachowane świadczyły, możnaby cały tom ciekawych spisać opowiadań — a niestety przebrzmiewają już w górach potężne ryki i najcudowniejszy ‚rozdział dorocznych wrażeń myśliwego zamknięty.

Moje wrażenie skromne i niezbyt może ciekawe, ale nim może Bazyli przed kim zdradzi — wolę sam wyspowiadać się przed Łowcem, bo może prędzej przytem się uspokoję, po ostatniem pudle do kapitalnego jelenia.

Tegoroczne rykowisko nikogo chyba nie zadowoliło, w wysokich zwłaszcza górach surowa tegoroczna zima i wysokie śniegi, dały się jeleniom we znaki — zginęło dużo słabszej młodzieży, niestety także wiele staruszków grubych jeleni, którym wydarte zęby i kły nie umożliwiały już obdzierania kory, tej ostatniej ucieczki wśród zimowej biedy. Reszta pozostała nie prędko przyszła do siebie; jelenie później niż w inne lata rogi wytarły, a spóźniwszy toaletę weselną, nie spieszyły do godów. Po 14. września pierwsze słyszeć się dały, a i później rozryczawszy się niby na dobre zbyt długie w koncercie robiły pauzy.

W kolibie znalazłem się 24. września popołudniu — wśród pierwszego podchodu spotkałem dwie pojedyncze łanie, potem całe towarzystwo z pięciu dam z kiepskim szóstakiem, a opodal znów pasącego się, jak za najspokojniejszych czasów szóstaka, a wszystko to zdradzało zupełną obojętność i spokój mimo odzywającego się gdzieś daleko na górze potężnego ryku jelenia, jak gdyby jeszcze daleko było do dorocznych wzruszeń miłosnych, do zawziętych walk rywali i rozkołysania się namiętności.

Podchodzenie w tych warunkach było bardzo uciążliwe, miałem w oddanym mi rewirze pewnie 12 do 15-tu odzywających się jeleni, ale na dobre ryczał mi co wieczór wprost ogniska tylko jakiś „krampus", jak go szwab gajowy nazywał, a drugiego dnia gruby dziesiątak, którego udało mi się podejść i zabić.

Głos miał ten jegomość tak zachęcający, że porzuciwszy inne, bliżej się odzywające, zaczęliśmy go podchodzić. Kto zna głębokie góry, w których nie ma mowy o ścieżkach a natomiast pełno na stromych pochyłościach zwalonych kłód, głazów, gałęzi i ożyn, ten wie dobrze, jakiej gimnastyki potrzeba, ile trudu i potu, aby podejść po cichu jelenia. Po dobrej godzinie takiej gimnastyki znaleźliśmy się wreszcie blisko jelenia. Stanąłem schowany za drzewem, pod nogami miałem prawie prostopadłą ścianę w dół do potoka a na przeciwległej zboczy w gęstej buczynie ryczał jeleń. Słyszałem go, jak chodził, tłukł wieńcami po gałęziach, ale nie sposób go było w gąszczu wypatrzeć.

Stary mój gajowy, rzeczywiście doskonały myśliwy, począł wabić, naśladując głos łani; na to jeleń począł na ukos spuszczać się w potok, a po chwili łamanie gałązek i łoskot toczących się w dół kamyków uprzedziły nas, że idzie ku nam.

Była to chwila oczekiwania, której napięcie znają towarzysze myśliwi. Szmer nagle ucichł, a wychyliwszy się ostrożnie z poza drzewa, spostrzegłem przed sobą na 130 kroków w gąszczu jelenia; stał na zwalonej kłodzie przedniemi nogami, pokazując mi tylko kark i część piersi, bo i rogi schowane były wśród gałęzi. Mierząc w kark, strzeliłem, a po strzale zwalił się jeleń jakby piorunem rażony.

Kula weszła u nasady karku, przebiła łopatkę po drugiej stronie i utkwiła pod skórą, skąd ją przy obielaniu wyjął gajowy. Przyznaję, że przyszedłszy do leżącego jelenia, miałem chwilę rozczarowania, policzywszy końce, bośmy go mieli co najmniej za 14-taka, a pokazało się, że to tylko 10-tak o wysokich i grubych wieńcach a przytem kolosalnym korpusie. W tym samym rewirze poluję już trzeci rok i miałem w tym roku wrażenie, że wszystkie jelenie pod względem ilości odnóg są cofnięte, może być, że się mylę, ale i to jest możliwym wynikiem surowej zimy.

Bawi w tym rewirze stale jeleń staruszek, o którym marzę między jednem rykowiskiem a drugiem, a któremu dotąd co roku poświęcam prawie cały mój krótki pobyt w górach, to też i teraz zabiwszy już jednego jelenia, oświadczyłem gajowemu, że polujemy odtąd tylko na tego „dziadzia". Trzy następne dni wypełnił mi też zupełnie. W najbardziej przepaścistych zworach rewiru ma swoich kilka legowisk, ale nigdy dwa dni z rzędu w jednem nie bawi i nie trzyma się pod tym względem żadnego porządku. Ryczy z rzadka i bardzo mało, ale głos ma taki i tak go już znamy, że odrazu go odróżniam od innych.

Następnego zaraz dnia o piątej rano byłem już, wyszedłszy o trzeciej z koliby, w pobliżu jednego z ulubionych schowków mego przyjaciela; wkrótce potem zaczął się rzeczywiście odzywać, ale już następne ryknięcie przekonało nas, że zaczyna się zwykły ranny spacer.

Przez trzy przeszło godziny maszerowaliśmy wytrwale, a zawsze w odległości 200 do 400 kroków od jelenia, zbliżyć się do siebie nie dał, bo porykiwał tak rzadko, że musieliśmy co chwila przystawać, aby go nie spłoszyć i czekać nowego odezwania się, a wybierał jakby dla zrobienia mi przyjemności, najgorsze gąszcze i złomy.

Wreszcie już po 8-mej znaleźliśmy się na odkrytym zrębie a właściwie wiatrołomie, na którym przynajmniej widać było na wszystkie strony, przed nami małe zagłębienie jakby kotlina, obejmująca morg lub dwa, zawalona złomami i porosła jodłami, w tem zagłębieniu po raz ostatni na 200 może kroków odezwał się nam, jeleń.

Wyjść nie mógł i nie może bo musiałbym go widzieć! Miałem uczucie, że teraz przecie mi się nie wymknie. Usiadłem więc na kłodzie i nie paląc papierosów, a pożywiwszy się tylko tabliczką czekolady i troszką koniaku, które miałem przy sobie, przesiedziałem do $^1/_2$4-tej. Godziny pamiętam dobrze, bom je często tego dnia sprawdzał. Przed czwartą raczył się mój sąsiad obudzić, co

mi oznajmił potężnym swoim głosem a następnie zaczął porykiwać w dłuższych odstępach czasu.

Przez następne dwie godziny zdołałem się tak podsunąć, że słyszałem go doskonale, jak chodził przedemną w gąszczu, miałem go na kilkadziesiąt kroków przed sobą ciągle i ciągle nadzieję, że w którąkolwiek stronę z gąszczu wyjdzie. Nagle razem z zapadającym mrokiem wszystko ucichło i jeleń się ulotnił, ale naprawdę ulotnił, bo do dziś łamię, a wtedy łamaliśmy obaj z gajowym głowę, którędy i jak mógł się niewidziany i niesłychany wynieść.

Następnego dnia mój przyjaciel był widocznie w złym humorze, mruknął tylko parę razy; na jego cześć podarowałem życie dobremu dwunastakowi, którego miałem na strzał, nie podchodziłem dwóch innych ryczących jeleni. Ostatniego dnia mego pobytu, rano cisza grobowa w całym rewirze, popołudniu już o drugiej byłem na miejscu, jakby spiesząc się do katastrofy, która przyjść miała.

Spuszczaliśmy się właśnie z góry do potoka, gdy przed nami po przeciwnej stronie odezwało się dobrze nam znane ryknięcie, po niem drugie już bliżej i widocznem było, że jeleń nas okrąża idąc grzbietem. Nie było więc innej rady jak puścić się pędem pod górę, aby mu przeciąć drogę, to się nie udało ale w chwili, gdy z trzęsącemi się od biegu nogami i bez tchu znalazłem się na górze, posłyszałem z boku od siebie trzaśnięcie gałęzi, a równocześnie spostrzegłem cień przemykającego się między złomami jelenia.

Nie było czasu do namysłu, więc mimo, że jelenia wciąż zasłaniały złomy i gałęzie strzeliłem — strzeliłem o dwa metry nad niego...

Może mi tego szczerego wyznania nie zapisze Św. Hubert w swojej łasce i obdarzy mnie jeszcze raz kiedyś z tymsamym dziadziem spotkaniem!

Jest to szesnastak, tak twierdzi gajowy, bo ja nie widziałem dobrze rogów, mignęły mi raz tylko przed oczami, ale widziałem dobrze kolosalne rozłożenie i jakby konary potężnie na łbie wyrastające.

Z jakiem uczuciem wybierałem się z powrotem łatwo zrozumieć, a jakby dla poprawienia humoru, pokazał mi na dole nadleśniczy zrzuty tegoroczne tego jelenia, które jako curiosum oprawić kazał na sztucznej czaszce, bo takich nie wiele już chyba w górach.

Mam te zrzuty obiecane, ale dopiero wtedy, gdy zdobędę czaszkę i przyszłoroczne wieńce — czy to kiedy nastąpi? — któż może wiedzieć. *W. S.*

KRONIKA.

Targ nasienny. Jesteśmy proszeni o wzmiankę w naszem piśmie, że komitet Gal. Towarzystwa gospodarskiego celem zwiększenia produkcyi nasion w naszym kraju, postanowił urządzić targ nasienny we Lwowie na wiosnę w r. 1906.

Bliższe szczegóły tego targu, jego terminu, lokalu, w którym się odbędzie, ogłoszone zostaną po zebraniu i ustaleniu liczby zgłoszeń.

Jeszcze jeden pomnik za życia. Cesarz Wilhelm II doczeka się wkrótce nowego pomnika. Niemiecki „Jagdschutzverein“ postanowił odlać srebrną statuę cesarza jako myśliwego z włócznią w ręku, stojącego nad zabitym odyńcem i ofiarować ją mu z okazyi srebrnego wesela. Później zaś pomnik zbudowany według tego modelu ma stanąć nie daleko zameczku myśliwskiego Rominten.

Zwierzyna i telegraf. W ostatnim numerze Łowca polskiego pojawił się bardzo ciekawy artykuł opisujący jakie szkody czyni zwierzyna w telegrafie w rozmaitych częściach świata. Według niego największym szkodnikiem w Ameryce jest bizon. Wpada on na słupy telegraficzne i wywraca je, jeden po drugim dla rozrywki. Próbowano nabijać słupy u dołu gwoździami, ale to nic nie pomogło. W Norwegii, Rosyi i północnej Ameryce wielkie szkody w telegrafach robią niedźwiedzie. Wdzierają się one na słupy i odgryzają izolatory. Tłumaczą sobie to w ten sposób, że szelest drutów zdaje się być niedźwiedziowi brzęczeniem pszczół.

Podobnym złudzeniom ulega też prawdopodobnie dzięcioł w Ameryce, a szczególnie w Kalifornii i Mexyku, który robi w słupach takie dziury, że lada wiatr je obali.

W Afryce rujnują całe linie telegraficzne żyrafy. Wysokie te zwierzęta przechodzą wzrostem linię drutów i w biegu często je rozrywają i słupy obalają.

Słoń w końcu, tak sobie dla przyjemności i wypróbowania siły wyrywa trąbą słupy telegraficzne. Niszczy tak całe linie obalając setki i tysiące słupów, jeden po drugim.

Łowiectwo w Szwecyi rozwija się szybko, w czem rząd tamtejszy bardzo mu pomaga. — W roku zeszłym wypłacone premie za niszczenie drapieżników wykazują pokaźną sumę 72.897 koron. Zabito w tym czasie 12 niedźwiedzi, 19 wilków, 8 rysiów, 73 rosomaków, 21.485 lisów, 625 kun, 45 wydr, 1097 psów morskich, 335 orłów, 367 puhaczów, 12,601 jastrzębi i 118.515 wron.

Środek przeciw zrządzaniu szkód przez zwierzynę. Jestto przyrząd składający się z silnej żerdzi drewnianej, osadzonej na osi między dwoma słupami, a opatrzonej na cieńszym swym końcu drewnianym młotkiem, na grubszym zaś skrzynką, której ściana zewnętrzna wstawioną jest ukośnie. Do tej skrzynki wlewa się woda zapomocą rury prowadzącej z najbliższego źródła i ją napełnia. Wtedy skrzynka na żerdzi ciężarem swym ku ziemi się obniża i dzięki ukośnej ścianie wodę ze siebie wylewa, gdy równocześnie druga część żerdzi z młotkiem podnosi się do góry a młotek uderza przymocowaną metalową płytę i dźwiękiem tym odstrasza z pobliskich pól zwierzynę. Automat ten ze skutkiem używanym jest od dawna w bogatych w zwierzynę okolicach północnej Styryi.

Zwracamy uwagę na „Hyloservin“.

OD REDAKCYI.

Upraszamy ponownie szanownych naszych korespondentów, by raczyli pisać swe prace wyraźnem pismem na półarkuszach tylko z jednej strony, zostawiając miejsce na margines. Ułatwia to bardzo pracę zecerowi, który inaczej do ostatniej chwili przeocza poprawki.

Również prosimy raz jeszcze o przesyłanie nam korespondencyi pisanych li tylko atramentem, gdyż pisane czy to zwykłym, czy atramentowym ołówkiem utrudniają nam niezmiernie pracę.

Szanowni korespondenci nasi niech raczą się już raz zastosować do tego naszego skromnego żądania, gdyż inaczej numer „Łowca“ wyjść musi z błędami drukarskimi, na czem cierpi nie tylko pismo ale i oni sami.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Pies legawy pointer, 3 letni, żółty, zupełnie ułożony, do sprzedania za 100 koron. Adres: Administracya „Łowca“.

Kto ma na zbyciu wyżła (psa), raczy donieść podpisanemu. Warunki: 1. spokojny temperament, 2. chętnie szukać, 3. cierpliwie wystawiać, 4. po strzale nie gonić, 5. zającem gardzić, 6. ludzi nie napastować, 7. posłuszeństwo. Bronisław Rozwadowski, Turówka p. Tarnoruda.

Ogary czarne podżare, młode, bardzo piękne i wyrównane, dwie sfory, natychmiast do sprzedania. Rodzice ich specyalne dzikarze.
Zygmunt Stelcel Stuposiany p. Lutowiska.

Kupię wyżła dobrze ułożonego w 2-giem lub 3-ciem polu anglo-czeskiej rasy lub settera, inżynier Szczurkiewicz, Pilzno.

Ważne dla P. T. Właścicieli polowań!

HANDEL ZWIERZYNY

P. ST. CHRYPIAK

we Lwowie, ulica Zyblikiewicza l. 17.

Zobowiązuję się zakupywać wszelkie partye zabitej zwierzyny **na miejscu polowania i w każdym czasie** (bez względu na odwilż). Zastrzega sobie dostawę do najbliższej stacyi kolejowej. Na telegraficzne zawiadomienie o mającem nastąpić większem polowaniu (60 do 70 zajęcy), gotów jestem osobiście udać się na miejsce celem odebrania zwierzyny i przepilnowania jej należytego opakowania, wobec czego odpada właścicielowi kłopot z nadaniem zwierzyny na kolej.

Ceny ofiaruję następujące:

Za 1 kg. dzika wagi do 40 kg. .	K.—·50	Za jarząbka 1 sztukę	K. 2·—
„ 1 „ „ „ „ 70 „ .	„ —·30	„ słonkę 1 sztukę	„ 2·—
„ wyższej .	„ —·20	„ kuropatwę 1 sztukę . . .	„ 1·—
„ 1 „ rogacza	„ —·80	„ cietrzewia 1 sztukę	„ 2·40
„ zająca 1 sztukę	„ 2·—	„ kaczkę krzyżówkę 1 sztukę .	„ 1·—
„ 1 parę bażantów	„ 4·80	„ kaczkę cyrankę 1 sztukę .	„ —·80

Łóżka żelazne

dla pp. studentów

po złr. 7·—, 7·50, 8·50, 12·50, 14·— i 16·50.

Uniwersalne z materacem do składania (Kastenbett) od 15·— do 20·— złr.

Ozdobne łóżka żelazne, półmosiężne i angielskie, od złr. 18·— do 1·50. — Wielki wybór **łóżeczek dziecinnych** w kilku kolorach. — **Materace siatkowe** i sprężynowe. — **Stoliki do umywalni** żelazne i mosiężne od złr. 3·— do 80·— i wyżej. — **Kołyski. Bidety, Stearze** na parasole i ubrania, **Kosze** na węgle, **Drabinki** żelazne — poleca

ARTUR BARTOSZ

komisowy skład mebli żelaznych i srebra chińskiego, połączony z magazynem nowości, porcelany, szkła itp.

Lwów, pl. Maryacki 7, róg Kopernika.

Fabryka wózków dla dzieci



wyrobów koszykarskich i bambusowych, poleca swe wyroby

taniej jak wszędzie.

Olbrzymi wybór!

Zabawki dla dzieci

wyrób krajowy.

A. KONIEWICZ

Lwów, ul. Batorego 12.

CENNIKI GRATIS I FRANCO.

MAGAZYN
Schayerów

we Lwowie, ulica Akademicka 5.

(naprzeciw hotelu George'a)

poleca na każdy sezon w wielkim wyborze

NOWOŚCI z KONFEKCYI dla DAM

Materye wełniane i jedwabne

na suknie i okrycia.

Chustki angielskie himalaya, pledy, bluzki, halki i t. p.

Płótna i stołowa bielizna

z pierwszorzędnych fabryk.

Kompletne wyprawy ślubne

sukień i bielizny.

Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń urzędników prywatnych

(Lwów, ul. Cicha 1.)

oparte ściśle na wzajemności, oraz na zasadach asekuracyjno-technicznych a zarazem o celach dobroczynnych — przyjmuje **ubezpieczenia pensyjne** a w szczególności ubezpiecza za jedną składką **renty na wypadek nieudolności do pracy, renty na starość, renty wdowie, pensye sieroce i ryczałty pogrzebowe** — pod bardzo korzystnymi warunkami.

Ubezpieczać się mogą urzędnicy prywatni wszelkich kategoryi, oraz osoby zarobkujące samoistnie lub w tak zwanych zawodach wolnych, bez różnicy płci.

Szczególne korzyści:

Po trzech latach trwania ubezpieczenia jest polica nieprzepadalna, t. j. Towarzystwo zwraca po tymże czasie na żądanie ³/₄ składek netto bez odsetków.

Po 5 latach należenia nabywa ubezpieczony prawo do renty na wypadek nieudolności do pracy (renty inwalidy) w wysokości 35% ubezpieczonej płacy służbowej; renta ta przez dalsze należenie wzrasta aż do 100% jako renta na starość. Na wypadek śmierci ubezpieczonego ma prawo (bez osobnych opłat) wdowa do renty wdowiej w wysokości 50% renty męża, a sieroty do pensyi sierocych w wysokości 8—24% ubezpieczonej płacy ojca.

Renta na starość płatną jest bezwzględnie po 35 latach należenia lub po ukończeniu 65 lat życia.

Nadto ma każdy członek ubezpieczony, każdy emeryt lub wdowa prawo do zapomóg doraźnych w wypadku choroby, braku posady itd., wszyscy zaś członkowie i ich rodziny mogą korzystać z licznych fundacyi stypendyjnych i posagowych oraz z bursy Towarzystwa. Członków poleca Towarzystwo bezpłatnie na posady.

Prospekty szczegółowe wysyła i wszelkich wyjaśnień udziela na żądanie Wydział centralny Towarzystwa

we Lwowie, ul. Cicha 1.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**